

DENISE HUNTER

DOLINA

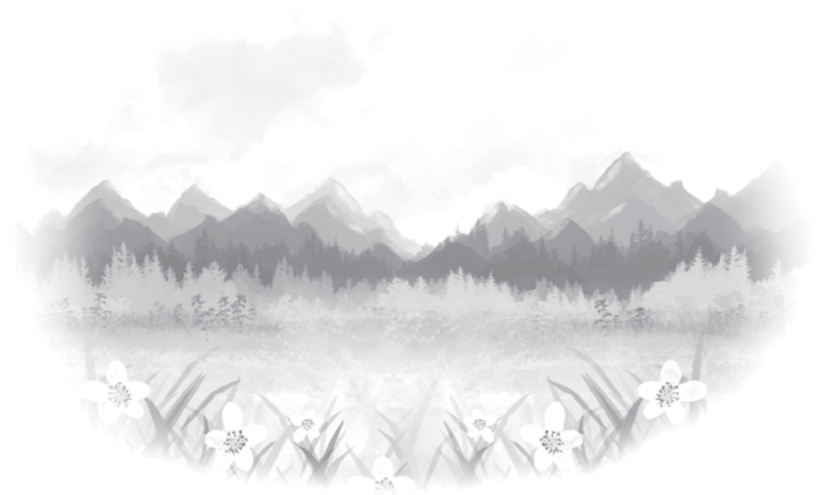
Struberry

ROMANS W RIVERBEND

d

DOLINA

Mulberry



DENISE
HUNTER

Tłumaczenie: *Joanna Olejarczyk*

Tytuł oryginału:
Mulberry Hollow

Autor:
Denise Hunter

Tłumaczenie z języka angielskiego:
Joanna Olejarczyk

Redakcja:
Natalia Chrobak-Lechoszest

Korekta:
Dominika Wilk

Skład i opracowanie graficzne:
Anna Brodziak

Projekt okładki: © Faceout Studio, Tim Green, © Thomas Nelson, HarperCollins
Christian Publishing Inc.
Zdjęcie na okładce: © Shutterstock
Wektory: pikisuperstar / Freepik.com

ISBN 978-83-66977-52-5

© 2022 by Denise Hunter by Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.
© 2022 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2023, wydanie I

Druk: Drukarnia Read Me

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 2,0 70 g/m²
dostarczonym przez Antalis Poland sp. z o.o.



Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Wes Garrett przebudził się i zmrużył oczy przed porannym światłem słońca, a w jego umyśle pojawiły się dwa silne przeblyski: po pierwsze zdał sobie sprawę, że jest sam w schronisku, a po drugie – że jest kompletnie przemoczo-ny. Po chwili dotarły do niego kolejne bodźce: bolała go głowa i mięśnie, a całym ciałem, pomimo lipcowego upału, wstrząsał dreszcz.

Jęknął i przewrócił się na plecy, zrzucając z siebie śpiwór. Z trudem wziął głęboki wdech. Powinien znowu zasnąć. Dlaczego to działo się akurat teraz, gdy zostały mu już tylko dwa tygodnie z dwumiesięcznej wędrówki?

Pomyślał o Lillian, która czekała na niego w Albany w stanie Nowy Jork. Pomyślał o swoim najlepszym przyjacielu Landonie i ich planach, by wspólnie ukończyć Szlak Appalachów po powrocie do USA. Przypomniawszy sobie ostatnie chwile Landona przed śmiercią na kolumbijskiej ziemi – to Wes miał wtedy umrzeć zamiast niego.

Czy mógł więc leżeć tutaj w schronisku i szukać zapomnienia, zapadając w sen? Nie mógł. Musiał brnąć dalej

ze względu na pamięć po przyjacielu. Pokonał już gorsze przeciwności niż ta.

Zdeterminowany usiadł, a deski schroniska zaskrzypiały pod nim. Zakręciło mu się w głowie i zamrugał, by przegonić piekący słony pot, zalewający mu oczy. Przypomniał sobie kaszłającego mężczyznę, który spał obok niego kilka nocy wcześniej. *Wielkie dzięki, chłopie.*

Słońce przebijało się między drzewami na polanę. Musiała już dochodzić dziesiąta. Na szlaku ani razu nie spał dłużej niż do szóstej. Troje turystów, z którymi dzielił schronisko, już dawno sobie poszło, a jedynym dowodem ich obecności była smużka dymu unosząca się z paleniska.

Został zupełnie sam.

Przełknął ślinę przez obolałe, wyschnięte gardło i sięgnął po wodę. Musiał się ruszyć. Poczuje się lepiej, kiedy coś zje i wypije kawę. Dotrze do najbliższego miasta, a potem oceni sytuację. Myśl o prysznicu, prawdziwym materacu i domowym obiedzie pomogła mu stanąć na nogi.

Ale dwadzieścia minut później uleciał z niego cały optymizm i dopadła go rzeczywistość. Ubranie się i zjedzenie śniadania wyzuło go z całej energii, a Riverbend znajdowało się całe dwadzieścia kilometrów dalej.



Avery Robinson przez całe dorosłe życie obawiała się swoich trzydziestych urodzin – a te właśnie nadeszły. Skrzywiła się, kiedy jej rodzina, zgromadzona przy stole piknikowym, zawyła piosenkę *Happy Birthday*. Wspaniali ludzie, cudowna rodzina, ale śpiewakami to oni nie byli.

Macocha Avery, Lisa, z upiętymi dziś blond włosami ukazującymi ładną twarz, postawiła przed Avery ciasto urodzinowe (Tak! Brownie!). Płomienie trzydziestu świeczek tańczyły na lipcowym wietrze, rozjaśniając mrok jak małe ognisko.

Jej najstarszy przyrodni brat Gavin zafałszował tak wysoki dźwięk, że aż prychnęła. Drugi z przyrodnich braci, Cooper, posłał mu gniewne spojrzenie. Tylko dzięki niemu piosenkę w ogóle dało się rozpoznać. Jego narzeczona, Katie – najlepsza przyjaciółka Avery ze studiów – pochyliła się do przodu, a jej blond włosy w odcieniu miodu zsunęły się z ramion, kiedy piosenka (Bogu niech będą dzięki) się skończyła.

- Ludzie złoci! - Twarz Avery wykrzywiła się w grymasie.
- Wielkie dzięki.

Oczy taty zmarszczyły się w stylu Kiefera Sutherlanda.

- Pomyśl życzenie, skarbie.

- Pewnie je zmarnuje na nowego lekarza do kliniki - powiedział Cooper.

- Życz sobie faceta - wypaliła Katie. - Ale bądź konkretna. Fajne poczucie humoru, przystojny, z dobrą pracą...

- Gotowy wytrzymać z pracoholiczką... - dodał Cooper.

- ...Która ma stos książek na nocnej szafce.

Lisa żartobliwie zgromiła ich wzrokiem.

- Już dość, chłopcy, bądźcie mili. To jej urodziny.

- Jedyny mężczyzna, jakiego chcę, to taki, który ma wykształcenie medyczne i zgodzi się mieszkać w małym górskim miasteczku. A jako część zapłaty przyjmie mieszkanie w szopie - odparła bezceremonialnie Avery.

- Widziałas tę swoją szopę? - Cooper uniósł jedną brew.

- Widziałas to miasteczko? - dodał Gavin.

- Hej! - odpowiedziała chórem reszta rodziny.
- Każdy by się cieszył, gdyby mógł tu zamieszkać. Lekarz czy nie - odrzekła Lisa.

Gavin odgarnął czarne włosy z czoła, odsłaniając jasnoniebieskie oczy.

- I właśnie dlatego tyle osób odpowiedziało na jej ogłoszenie.

- Hmm, pomyślmy... - Cooper zmrużył brązowe oczy.
- Sześciocyfrowa pensja i penthouse czy karton po butach z wadliwą hydrauliką.

- Hydraulika jest w porządku, wypraszam sobie.

- Kochanie - wtrącił tata. - Jeśli zatrudnienie dodatkowego lekarza sprawi, że będziesz mogła pracować mniej, to proszę bardzo, możesz go sobie życzyć.

- Oczywiście. - Lisa pogładziła ją po ramieniu. - Wykańczasz się, a naprawdę nie jest ci to potrzebne.

Rodzina w subtelny sposób dawała jej do zrozumienia, jak ważne są jej trzydzieste urodziny. Avery wpatrywała się w płonące świece na czekoladowym cieście i zastanawiała się nad życzeniem, podczas gdy pozostali rozprawiali o tym, jaka jest obciążona pracą. Nie wierzyła w życzenia, ale jak Gavin uprzejmie wszystkim przypomniał, jej ogłoszenia - i liczne modlitwy - nie działały.

Planowała zaczekać z zatrudnieniem dodatkowego lekarza do przyszłego roku, aż będzie miała czas i pieniądze na wyremontowanie nazywanego przez nich szopą domku za kliniką. Ale długie godziny pracy dawały jej w kość - a poza tym była jeszcze tamta straszna noc w kwietniu tego roku.

Jej wzrok spoczął na tacie, siedzącym naprzeciwko niej i zaangażowanym w rozmowę. Jego skóra miała dziś zdrowy

kolor i wyglądał na radosnego. Otarł się o śmierć i wszyscy mogli go stracić - i to była jej wina. Ta bezradność i panika, jakiej doświadczyła jako dziecko, dopadła ją znowu, przyprawiając ją o ból w klatce piersiowej. Tylko że tym razem była dorosła i była lekarką. Powinna być tutaj przy nim.

- No dobra, słuchajcie, świece się topią. - Słowa Lisy wyrwały Avery ze strasznych wspomnień. - Pomyśl życzenie, skarbie.

Avery wysiliła się na uśmiech i spojrzała na świece. To było jej urodzinowe życzenie. A co tam! Potrzebowała drugiego lekarza. Jej rodzina miała rację co do jednego: nie mogła dalej żyć w takim tempie, jak teraz. Wzięła głęboki wdech i wypuściła go, zdmuchując wszystkie świece.

Żwir zatrzeszczał pod oponami jeepa, kiedy Avery wycofywała spod domu rodziców. Uśmiech, który wymuszała przez cały wieczór, stopniał, gdy tylko wyszła. Tata słabł w miarę upływu wieczoru. Starał się to ukryć, ale Avery nie dało się oszukać.

Wyglądało na to, że dwa stenty zadziałały, a kardiolog był optymistycznie nastawiony i uważał, że problem został rozwiązany (Avery zadrezczała go o wszystkie szczegóły przy kilku okazjach). Ale serce i arterie to delikatne narządy.

Odetchnęła głęboko, licząc do dziesięciu przy wydechu. Wszystko będzie dobrze. Już nigdy więcej go nie opuści - ani reszty tutejszej społeczności - wyjeżdżając z miasta. Przynajmniej dopóki nie ściągnie tu drugiego lekarza. Może uda jej się zdobyć jeden z tych grantów, o które się ubiegała, żeby móc zaproponować mu godziwą pensję.

Kilka minut później jechała przez miasto, w którym już o ósmej wieczorem zamierało wszelkie życie. Minęła kościół i skierowała się w stronę kempingu, którym zarządzał Gavin, aż wreszcie wjechała do zalesionej części miasta zwanej Doliną Mulberry. Droga wiała się tu wzdłuż rzeki, a księżyc w pełni rzucał upiorną poświatę na czubki drzew.

Po drugiej stronie rzeki wznosiły się zaokrąglone grzbieity Appalachów, zarysowujące się na tle wieczornego nieba. Dla niektórych ludzi to miasteczko było miejscem, z którego należało uciec. Większość kolegów Avery ze szkoły myślała w ten sposób. Ale dla niej Riverbend, ukryte wśród strzegących je gór, było bezpieczną przystanią od reszty świata. Wiedziała, że chce się tu zestarzeć, jeszcze zanim zdała sobie sprawę, że pragnie zostać lekarką. Tutejsi ludzie byli przyjaźnie nastawieni i chętni do pomocy. A Robinsonowie mieli tutaj głębokie korzenie sięgające pięciu pokoleń. Pochodziła z rodziny farmerów i przedsiębiorców oddanych temu małemu górskiemu miasteczku. Z dumą niosła dalej rodzinne dziedzictwo.

Minęła stojące blisko drogi domy w stylu Craftsman, kilka lat temu przerobione na siedziby firm z usługami dla turystów i miłośników natury. Sklep wędkarski, sklep z odzieżą sportową, firma raftingowa.

Jej klinika znajdowała się tuż za ostatnim z nich. Szyld przy ulicy, oświetlony z obu kierunków, kołysał się na wietrze. *Klinika Medyczna Riverbend*. Widniały na nim godziny otwarcia i numery telefonów, w tym również alarmowy. To właśnie przez telefony tak desperacko potrzebowała drugiego lekarza. Oczywiście miała ludzi do pomocy: pielęgniarkę Katie i uprawnioną do przepisywania leków

pielęgniarkę Sharise. Ale Sharise była samotną mamą dwójki dzieci, więc odpowiedzialność za opiekę medyczną po godzinach spadała na Avery.

Zwolniła i zjechała na żwirowy parking, który kiedyś był podwórkiem przed domem. Jej mieszkanie na piętrze było ciemne, podobnie jak ganek. Gdy zostawiała zapalone światło, zawsze zjawiał się o północy ktoś ze złamanym paznokciem, przekonany, że to całodobowa opieka medyczna, pomimo wywieszonych godzin otwarcia.

Reflektory jej samochodu omiotły klinikę. Był to jeden z większych domów przy ulicy, ale góry za nim sprawiały, że ceglany budynek wydawał się mały. Wyłączyła silnik jeepa, zebrała prezenty i resztkę brownie, które Lisa upchnęła do jednej torby prezentowej z napisem „Najlepsze lata masz już za sobą” (dostała ją od Coopera). Avery nie mogła się doczekać, aż pozwoli sobie na kolejne brownie – w końcu były jej urodziny. Będzie się nim delektować, wznawiając swój maraton czytelniczy z Jane Austen – właśnie była w połowie *Emmy*.

Kiedy wysiadła z auta, jej wzrok powędrował w górę do ciemnego mieszkania, w którym jej kotka Boots prawie na pewno wyglądała przez okno w salonie, czekając na jej powrót. Wieczór pachniał ogniskami i gardeniami. Avery popatrzyła na kwiaty, które Lisa i Katie zasadziły wiosną, ale było za ciemno, by zachwycić się ich pięknem.

Z tyłu domu miała prywatne wejście, ale zamiast tego poszła do frontowych drzwi kliniki, bo tamtędy było najbliżej. Weszła po schodkach na ganek i już miała wyciągnąć klucz z torebki, kiedy jej stopa napotkała coś twardego.

Ciemna masa wydała z siebie przeciągły, męski jęk.

ROZDZIAŁ DRUGI



- Halo? - Avery pochyliła się nad mężczyzną i delikatnie nim potrząsnęła. - Proszę pana?

Gdy nie odpowiedział, przeszła nad nim, otworzyła drzwi i włączyła światło na ganku. W ciągu kilku sekund znalazła się z powrotem przy nim. Czy był pijany?

Leżał skulony na boku z głową opartą na plecaku. Miał na sobie szorty i szary T-shirt. Ciemne blond włosy opadały mu falami na twarz, w większości pokrytą bujnym zarostem. Wszystko to – plus jego ziemisty zapach – doprowadziło ją do wniosku, że to jeden z długodystansowych turystów.

Oceniła, że może być przed czterdziestką, chociaż przez ten zarost trudno było oszacować wiek.

Nie miał wyraźnych kontuzji. Jego twarz była zarumieniona, ale się nie pocił. Dotknęła jego czoła. Lekka gorączka.

Mężczyzna się poruszył. Uchylił powieki i popatrzył na nią zaszklonymi, zmrużonymi oczami o chabrowym odcieniu niebieskiego, które mocno kontrastowały z jego opaloną skórą.

- Proszę pana, czy ma pan jakąś kontuzję?

Jego jabłko Adama podskoczyło.

- Jestem chory.

- W porządku. Zaprowadzę pana do środka, gdzie będę mogła pana zbadać. Da pan radę wstać?

Z wysiłkiem, który wyglądał na nadludzki, podniósł się do pozycji siedzącej.

- Bardzo dobrze. - Avery złapała go za ramię. A cóż to było za ramię! Umięśnione i twarde w dotyku. Musiała trzy razy go pociągnąć, zanim stanął na nogach i dopiero wtedy zobaczyła dlaczego; przewyższał ją przynajmniej o piętnaście centymetrów. A przy metrze siedemdziesiąt wzrostu Avery nie należała do drobnych kobiet.

Zachwiał się.

- Spokojnie. - Dała mu chwilę, żeby doszedł do siebie, po czym otworzyła drzwi. - Da pan radę iść? Tak w ogóle jestem doktor Robinson i zaopiekuję się panem dzisiaj.

- Mój plecak... - powiedział ochryplym głosem.

- Może na razie zostać na ganku. Chodźmy do gabinetu. - Prowadziła go do pokoju z numerem jeden. - Może mi pan powiedzieć, co panu dolega?

- Gorączka. Zmęczenie. Ból gardła.

- Ukąsił pana kleszcz lub komar?

- Raczej nie.

- Ma pan wysypkę?

- Chyba nie.

- Przebywał pan w towarzystwie kogoś chorego?

- Kilka dni temu w schronisku. Jeden facet mocno kaszłał.

Może to jakiś paskudny wirus, ale postanowiła poczekać z diagnozą do czasu, aż go dokładnie zbada.

- Kiedy dostał pan pierwszych objawów?

- Dziś rano.

Byli prawie w połowie drogi do gabinetu. Miała przecucie, że ten człowiek nie przywykł do bycia w potrzebie i przyjmowania pomocy, więc zmieniła temat.

- Gdzie się pan zatrzymał na czas pobytu w mieście?

- Ja... Nie wiem.

Bo był skołowany? Czy dlatego, że jeszcze tego nie zaplanował? Podeszła z nim do drzwi gabinetu.

- Nie wie pan?

- Dopiero przyszedłem.

- Gdzie pan nocował zeszłej nocy?

- W Laurel Knob.

Spojrzała na niego kątem oka.

- To prawie dwadzieścia pięć kilometrów stąd, a nie widziałam auta na parkingu.

Nic nie odpowiedział, tylko opadł luźno na łóżko i zamknął oczy. Oddychał z trudem i drżał na całym ciele.

Avery zmierzyła mu ciśnienie krwi. Laurel Knob było na północ od miasta, co oznaczało, że pokonał ponad trzysta metrów przewyższenia po trudnym terenie, zanim zszedł do doliny w wilgotny dzień, w który temperatura przekroczyła trzydzieści stopni.

Miał dość niskie ciśnienie krwi i wysokie tętno – albo z odwodnienia, albo z wyczerpania, albo jedno i drugie. Przypięła mu do palca pulsoksymetr i zaczęła na odczyt. W normie.

Dokończyła wywiad, zadając mu kilka pytań, które jej się nasunęły. Gdy osłuchiwała mu płuca, już nawet nie był w stanie udzielać jej odpowiedzi.

- Panie... Proszę pana, może się pan obudzić?

Uchylił rzęsy i skupił na niej senne spojrzenie.

- Nie przedstawił mi się pan.

Zwilżył usta.

- Wes Garrett.

- Dobrze, Wes. Możliwe, że nabawiłeś się poważnej infekcji górnych dróg oddechowych. Ale o wiele bardziej martwi mnie to, że jesteś odwodniony. Zadzwońię do szpitala Mission i poproszę, żeby przysłali karetkę. Będziesz potrzebował...

- Nie.

- Rozumiem twój opór, ale twoje potrzeby przekraczają możliwości tej kliniki. Musisz zostać podpięty do kroplówki i zostać na nocnej obserwacji, trzeba też wykonać kilka badań.

Nie mogło do tego dojść. Wes pokręcił głową, a od tego ruchu jego głowa eksplodowała bólem.

- Nie mogę.

To pewnie tylko jakiś drobny wirus... Chociaż dosłownie zwałił go dzisiaj z nóg – i to więcej niż raz, jeśli miał być szczerzy. Nie potrafił też wyrazić, jaką poczuł ulgę, gdy dotarł do kliniki. Po marszu w upale przez góry odpoczynek wydał mu się boski, a chłodny betonowy ganek był równie kuszący, co luksusowy materac.

- Jesteś poważnie odwodniony, Wes. Potrzebujesz kroplówki.

Spojrzał na twarz lekarki. Jasna skóra, delikatne piegi na nosie i zgrabne brwi nad zielonymi oczami, które ściągałyby na siebie całą uwagę, gdyby nie bujne brązowe włosy.

Ubrana w biały top bez rękawów nie wyglądała na learkę. Nie pachniała też jak lekarz; czuł od niej woń słońca i kokosu. A potem zdał sobie sprawę, że ona pewnie też czuła jego zapach.

Pora się zbierać. Poderwał się do pozycji siedzącej, a ten ruch wymagał śmiesznie wielkiego wysiłku. Zamrugał oczami, czując pulsujący ból głowy, i spróbował wstać.

Lekarka położyła dłonie na jego ramionach, żeby przytrzymać go na miejscu.

- Hola, hola! Gdzie się wybierasz? Słyszałeś, co powiedziałam? Jesteś odwodniony i trzeba ci zrobić prześwietlenie płuc, a może też inne badania diagnostyczne, żeby wykluczyć coś poważniejszego.

- Nic mi nie będzie. Napiję się wody i odpocznę przez kilka dni.

Kiedy wstał, gabinet zawirował mu przed oczami. Zamroczyło go, aż zobaczył tylko nikle punkciki światła.

Weź się w garść, Garrett. Walcz z tym.

Położyła obie ręce na jego ramionach i bez trudu posadziła go z powrotem.

- Jaki masz problem ze szpitalem?

Zaczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie, po czym spojrział jej w oczy.

- Nie mam ubezpieczenia.

- I tak cię wyleczą. To wspaniały szpital. Dobrze się tobą zaopiekują.

Ale wystawią mu rachunek, a on nie miał jak go zapłacić. Nie zamierzał zaciągać długów, jeśli tylko mógł się bez tego obyć; to kwestia honoru. Polizał wargi. Tak bardzo chciało mu się pić.

- Nie sędzę. Może mi pani polecić jakieś miejsce w pobliżu z prysznicem i łóżkiem?

- Panie... Wes. Namawiam, żebyś przemyślał swoje plany. Naprawdę potrzebujesz płynów i...

Poderwał się i tym razem nie dopadły go zawroty głowy.

- Dziękuję za diagnozę, pani doktor. Możemy się rozliczyć i przestanę pani zawracać głowę.

Ruszył w stronę drzwi, a nogi trzęsły mu się tak, jakby szedł na szczydach. Kręciło mu się w głowie, a serce waliło o klatkę piersiową. Wypadł z gabinetu. W plecaku miał dokładnie 127 dolarów. Chyba w ogóle nie powinien był przychodzić do kliniki, bo zapewne będzie go to kosztować wszystkie pieniądze, a jeszcze musiał zapłacić za...

- Czekaj. Czekaj. - Lekarka zastąpiła mu drogę. - Masz w mieście znajomych lub rodzinę?

- Nie. - Oparł się ręką o ścianę.

- Niech będzie. - Ściągnęła usta. - Możesz zostać tutaj. Podłączę ci kroplówkę. Zazwyczaj tego nie robię, ale tym razem zrobię wyjątek.

- Nie trzeba. Nic mi nie będzie.

Zmrużyła oczy, ściągając kąciki swoich pełnych ust.

- Właściwie to będzie. Masz gorączkę, ale się nie pocisz. Masz szybkie tętno i zawroty głowy. I boli cię głowa, o czym mi nie wspomniałeś. To wszystko objawy tego, że twój organizm rozpaczliwie potrzebuje płynów, Wes, i to natychmiast. Jeśli spróbujesz przejść do najbliższego motelu, który tak w ogóle jest prawie dwa kilometry stąd, zemdlejesz na poboczu, a gdy ktoś cię rano znajdzie, zadzwoni po karetkę.

- Nie mam...

- Ubezpieczenia, wiem. Coś wymyślimy. - Złapała go za łokieć. - Tędy. Mam łóżko szpitalne w gabinecie numer cztery. Będzie ci tam wygodnie.

Był zbyt słaby, by się opierać. I choć nie chciał tego przyznać, zapewne miała rację co do tego omdlenia. Nawet teraz wszystko wirowało mu przed oczami, a stawianie jednej nogi przed drugą stanowiło wyzwanie.

Przeszedł za nią korytarzem, czując, jakby buty trekkingowe były dociążone piaskiem.

Nocny pobyt w klinice, która nie zatrudniała pracowników do nocnej opieki zdrowotnej – to będzie kosztowało fortunę, której na pewno nie spłaci w najbliższym czasie. W głowie pojawiły się mu wizje z dzieciństwa. Wiadomości od wierzycieli, nakazy eksmisji, ucieczki z domu w środku nocy, które tata próbował tłumaczyć jako wyprawy po przygody.

Odsunął od siebie te wspomnienia i skupił się na tym, by iść. Wszedł do pokoju i zauważył łóżko. Już prawie dotarł na miejsce. Jeszcze tylko kilka kroków i w końcu będzie mógł pogrążyć się w zapomnieniu.

ROZDZIAŁ TRZECI



Avery drzemała, ale troska o pacjenta znowu wyrwała ją ze snu. Zamrugła, bo raziała ją poświata lamp z korytarza. Jej zegarek Fitbit wskazywał, że jest 3.17 w nocy, czyli minęło około siedem minut, odkąd ostatnio na niego patrzyła. Kiedy wstała, włączyła się klimatyzacja, więc objęła się rękami przed powiewem zimnego powietrza.

Trzeci raz tej nocy wyszła z biura, przeszła przez korytarz i otworzyła drzwi do czwórki. Pacjent nawet się nie poruszył, kiedy światło zalało pokój. Podeszła do łóżka i zauważyła miarowy ruch jego klatki piersiowej. Krople potu na jego czole świadczyły o tym, że kroplówka działa. Rano będzie mogła go wypuścić.

Ta myśl ją zakłuła. Chociaż nie umiała spokojnie spać, miło było kogoś tu mieć. W całym budynku i w jej mieszkaniu w nocy panowała zupełna cisza. Avery często była sama – co nie oznacza, że była samotna. Wcale się tak nie czuła. Miała swoją pracę, rodzinę i przyjaciół.

No dobrze, przyjaciółkę. Katie była tak naprawdę jedyną osobą spoza rodziny, która była jej bliska. Ale miała wielu